

KŁAMSTWA
SZKLIANYCH WIEŻ

Najjaśniejszy Radymicz



- LEGENDA
- 1. Mosty i kolumny
 - 2. Szkoła
 - 3. Ratusz
 - 4. Sąd
 - 5. Sąd
 - 6. Sąd
 - 7. Sąd
 - 8. Sąd
 - 9. Sąd
 - 10. Sąd
 - 11. Sąd
 - 12. Sąd
 - 13. Sąd
 - 14. Sąd
 - 15. Sąd
 - 16. Sąd
 - 17. Sąd
 - 18. Sąd
 - 19. Sąd
 - 20. Sąd
 - 21. Sąd





KIAMSTWA SZKŁANYCH WIEŻ

PIOTR TANGO

TOM I



Tytuł: Kłamstwa szklanych wież

Autor: Piotr Tango

Copyright ©2026 by Piotr Tango

Copyright ©2026 by Wydawnictwo Libres Tango

Copyright for cover art.

Copyright ©2026 by Marta Żurawska, Piotr Tango, Justyna Koziczek,

Wydawnictwo Libres Tango

All rights reserved.

Wydawca: Piotr Tango, Wydawnictwo Libres Tango

Redakcja: Kinga Rak (Twarda Oprawa)

Korekta: Kamila Galer-Kanik (Retusz słowa), Karolina Brzuchalska (Twarda Oprawa),

Skład, łamanie, przygotowanie do druku: Mariusz Bieniek

Złożono krojami: Scala Pro, Scala Sans Pro

Projekt okładki i ilustracje: Marta Żurawska

Obraz: Justyna Koziczek

Mapa: Moreno Paissan

Drogi czytelniku,

Autor włożył lata pracy oraz własne pieniądze w stworzenie tej powieści w jak najlepszej postaci razem z genialnymi ekspertami trudnego rynku wydawniczego w Polsce. Prosimy abyś docenił naszą ciężką pracę i nie udostępniał jej w wersji pirackiej, a jeżeli pobrałeś ją z nielegalnego źródła – zasil dowolną kwotą konto autora na [Buycoffe.to](https://www.buycoffe.to)

Wydanie I, Inowrocław 2026 r.

ISBN (okładka miękka): 978-83-969412-2-0

ISBN (wydanie cyfrowe): 978-83-969412-3-7

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów. Autor nie wyraża zgody na trenowanie LLM całościami lub fragmentami tekstu.

wydawnictwolibrestango.pl

kontakt@wydawnictwolibrestango.pl

Bez nich nie byłoby tej książki

Cześć, tu autor. Robię coś, co zawsze wydawało mi się genialnym pomysłem: **na pierwszych stronach oddaję hołd osobom**, bez których ta książka nie byłaby tak piękna i dopracowana. Dziękuję wam, jesteście prawdziwie elitarną Strażą Książęcą.



Kinga Rak i Karolina Brzuchalska (Twarda Oprawa)

Od 2018 roku wspieramy autorki i autorów przed debiutem: od pogłębionej redakcji po silną markę autorską. Pracujemy nad tekstem i szkolimy. Twardą Oprawę prowadzą Karolina Brzuchalska i Kinga Rak. Dla Piotra przeprowadziłyśmy redakcję na konstrukcji i stylistyczno-językową. Na pewno zapamiętamy „Kłamstwa szklanych wież” na dłużej, bo to ciekawa i oryginalna książka.



Marta Weronika Żurawska

Jestem ilustratorką książek wszelkiej treści, chociaż od kilku lat szczególnie miejsce w moim życiu zajmuje temat fantasy. Mieszkam sobie na dzikim wschodzie, chociaż pochodzę z epickiego miasta Radomia. Myślę, że stąd też zrodziło się moje zamiłowanie do rzeczy niesamowitych i nieprawdopodobnych ;)



Kamila Galer-Kanik (Retusz słowa)

Redakcją i korektą zajmuję się od kilku lat, pod moje skrzydła trafiają głównie poradniki oraz beletrystyka (fantastyka, romans, obyczaj, YA). Mieszkam w Warszawie, choć wolałabym nad morzem. Jestem introwertyczką lubiącą uciekać w świat książek, ale nie tylko czytam – zdarza mi się też coś napisać :)

Z Piotrkim współpracowało mi się bardzo dobrze. Brał pod uwagę moje komentarze dotyczące fabuły i nie dyskutował z każdym dodanym lub usuniętym przecinkiem ;) Tak sprawnych współprac życzylabym sobie zawsze!



Justyna Koziczak

Praca z Piotrem była czystą przyjemnością a jego pomysł -postać zestawiona z monumentalnym krajobrazem, od razu bardzo mi się spodobał. Malując obraz na okładkę zastanawiałam się nad fabułą książki, oraz czy tak będę sobie wyobrażać bohaterkę oraz miasto, jak je namalowałam.

Przedmowa

Jest mi bardzo osobliwie: myślałem o tej chwili, projektowałem ten tekst już kilka lat temu. I jednocześnie widzę, co zaraz się tu pojawi, ale jest mi dziwnie bo to nie jest jakiś podniosły i magiczny moment, tylko... taka zwykła chwila.

Na początek zrobię coś niepopularnego w naszej kulturze, ale kochany czytelniku nie myśl, że jestem pysznym egoistą. Zrobię to właśnie dlatego, że dźwigam kajdany wewnętrznego krytyka i muszę rozbijać mury lęków ściskających mój umysł.

Niczym Snoop Dogg dziękuję sobie. Dziękuję sobie, że nie zagłuszyłem tego cichego głosiku, wyrzutu sumienia i zebrałem odwagę, żeby sprawdzić się na drodze powołania, które czuję odkąd nauczyłem się czytać. Dziękuję sobie, że poświęciłem czas na naukę pisarstwa, że z bólem i wysiłkiem przebijałem kolejne warstwy wspomnianych murów, że pozwoliłem sobie na nieco wiary.

Dziękuję sobie, że rezygnowałem z przyjemności i czasu ze sobą, z bliskimi, by ciężko pracować nad tekstem. Że dorabiałem pieniądze, które wydałem na wymarzony, jakościowy debiut, w którym wyzywam się jako pisarz i wydawca.

Dziękuję ci Piotrze, że spełniłeś swój życiowy cel i zrobiłeś to po swojemu: dbając o każdy detal.

Poklepałem się po plecach, czas na innych: dziękuję żonie Patrycji bo ma niewyczerpalne pokłady wiary i dzielnie znosi życie z pisarzem. Hejka Pati!

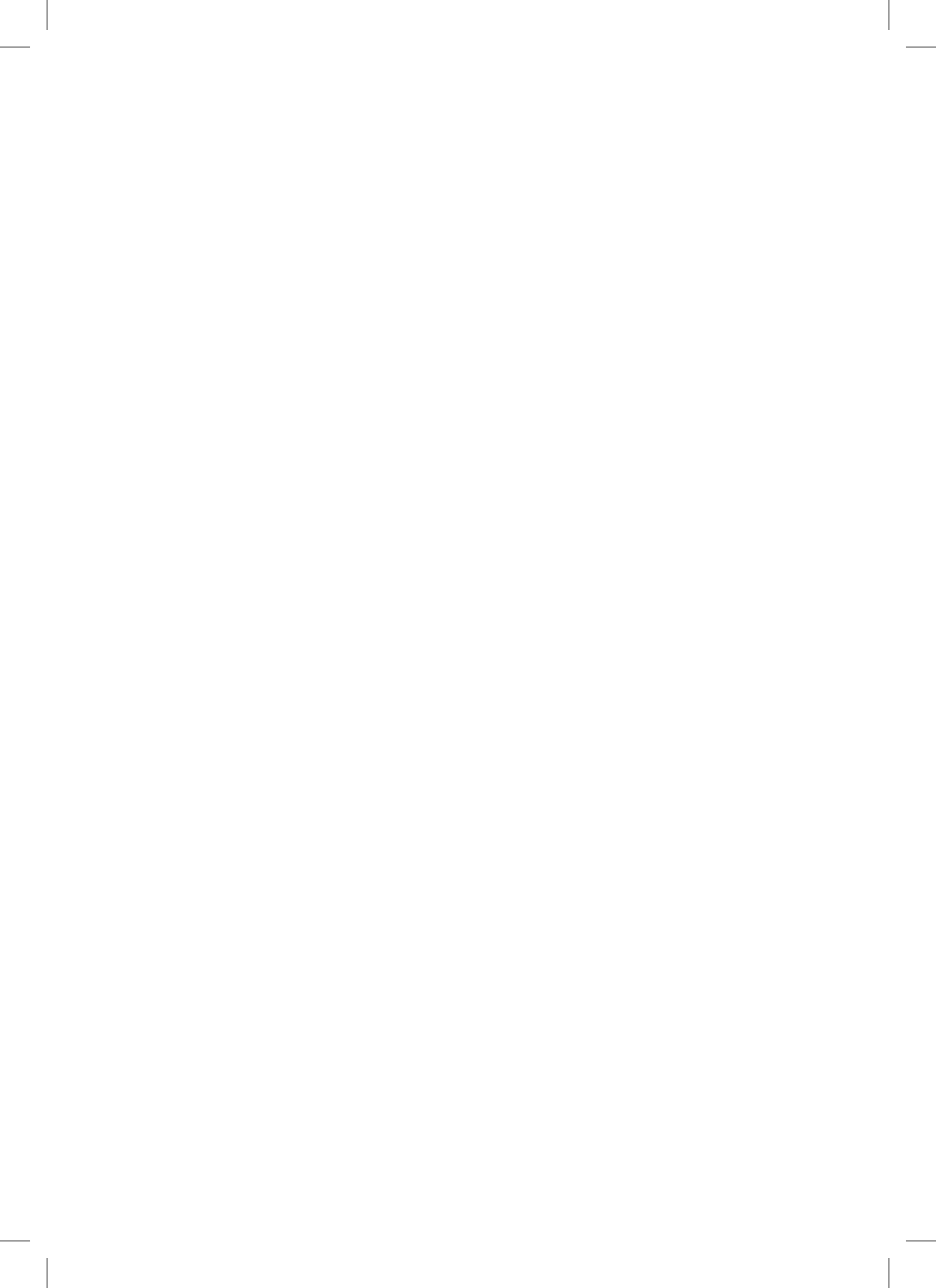
Gonzo za dzielne i sprawne czytanie moich pierwszych tekstów. Przyjaciołom za to, że jesteście (a Michałowi jeszcze za wsparcie taktyczne). Czynicie mnie szczęśliwszym i lepszym człowiekiem.

Dziękuję Krzyškowi Piersie za motywacyjne i edukacyjne filmy, Januszowi Stankiewiczowi za konkretne porady, a także całej rzeszy przychylnych i pomocnych, pełnych życzliwości pisarzy oraz innych ludzi świata pisarskiego. Michałowi Cetnarowskiemu z NF za wydanie mojego pierwszego opowiadania – nie wiem, czy bym sobie nie odpuścił, gdyby nie taki sukces na starcie.

Dziękuję wszystkim osobom, które wsparły proces wydawniczy. I dziękuję Tobie, czytelniczko, czytelniku. Jeżeli moja książka sprawi ci trochę przyjemności, da rozrywkę i nieco relaksu, to spełni się moje marzenie i powołanie. Chciałbym uczynić świat trochę lepszy właśnie tą książką – niech pomoże ci poczuć się lepiej w tych trudnych i zmiennych czasach. Udanej lektury!

KSIĘGA PIERWSZA

Wielkie obietnice



Rozdział I

Święcenia

Calida

– Tańczymy? – zapytał czarnoskóry M’Bakwe odziany w lamparcią przepaskę biodrową.

Gdyby nie to, że stanęli naprzeciw siebie jako przeciwnicy na piaszczystej arenie, pewnie podziwiałaby muskularny tors albo zwróciła uwagę na pełen radości uśmiech. Teraz jednak westchnęła cicho, oczyszczając zac zadzony bodźcami umysł. Okrzyki kibiców skutecznie wytrącały ją z równowagi.

Próbowała zanurzyć się w instynkcie, jednocześnie czując i odrzucając zalew wrażeń zmysłowych gdzieś poza siebie.

Gryzący dym z ognisk i pochodni unosił się w powietrzu, pachnąc pojedynkami, wieczorami pełnymi historii i ziołami do medytacji. Jej serce drgało zgodnie z szybkim rytmem wygrywanym przez bębniarzy. Tym, co chyba najmocniej budowało hipnotyczny trans, były monotonne, powtarzalne dźwięki shekere – grzechotek wykonanych z pustych tykw, ciasno oplecionych siateczkami pełnymi drewnianych koralików. Mimo to niemal słyszała szelest ziarenek pod przesuwającą się subtelnie stopą M’Bakwe.

„Więc to takie uczucie stać na środku kręgu”.

Publika składała się głównie z mieszkańców, jednak na honorowych miejscach obok Elleshara pojawiło się już kilku gości: kapłanów i szamanów przybyłych przed ceremonią święceń. W tłumie zgromadzonym wokół kręgu walki było niemal tylu białych potomków północy, co czarnoskórych M’Gaurów i śniadych Kuszan. Zbieranina wyznawców natury z różnych krain nikogo nie dziwiła.

Przecież sam Elleshar dawno temu przyniósł ze sobą północne zwyczaje i kulturę. Zakony Al-Saabiq przyjęły duchownych z Dyтики jako swoich, ciężko pracując nad stworzeniem jednego wspólnego kodeksu. Zepchnięci na margines strażnicy natury ze wszystkich kontynentów zbiegli w południową dżicz, by połączyć siły i stworzyć miejsca takie jak Zbór.

Teraz ta kolorowa gromada patrzyła z ciekawością na M'Bakwe i tropicielkę. Wiele się zmieniło i widok szczupłej, krótko obciętej blondynki, uzbrojonej w dwie szable zwane sejmitarami, nie budził już oburzenia. Było ich niewielu i nikogo nie obchodziła już płęć.

Calida, odziana w pozbawioną rękawów, wyszywaną płytkami brygantynę i ciemnobrązową spódnicę ze wzmocnionej skóry, poprawiła karwasz na lewym przedramieniu i skinęła lekko głową.

Elleshar rozsiadł się w wiklinowym siedzisku i uderzył grubą łagą o ziemię.

M'Bakwe ryknął, wytrzeszczając oczy. Calida dobytej sejmitarów, rzucając spojrzenie zielonych oczu w kierunku kibicującego tłumu. „Jeżeli chcę im zaimponować, muszę sobie poradzić dwa razy lepiej niż moi rówieśnicy. To najsilniejszy mnich. Jak mu dopiekę, to mnie docenią”, pomyślała.

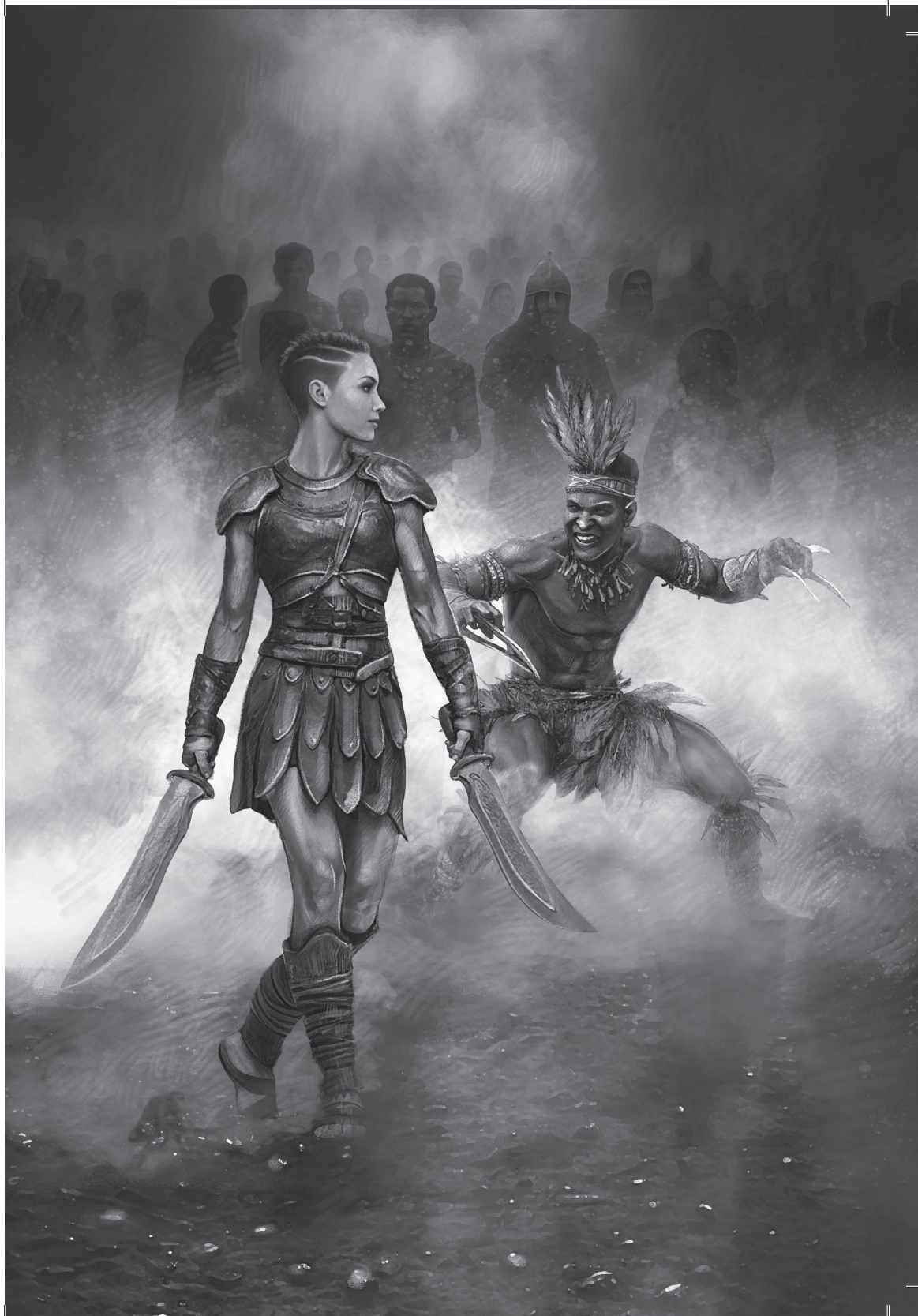
Zagrała trąba m'bagundoo rozpoczynająca starcie.

Zanim Calida drgnęła, mnich podskoczył i dwukrotnie złączył podeszwy swoich stóp. Odwróciła chwyt w pomocniczym, krótszym sejmitarze. Przeciwnik podskakiwał, tupał, kołysał biodrami, wrzeszczał.

Wiedziała, że M'Bakwe wykonuje rytuał swojego plemienia. Taniec miał obudzić ukryte siły jego ciała i pamięć przodków zaklętą w kościanych wisiorach, amuletach, kolczykach. Czas grał na jej niekorzyść, dlatego wszyscy spodziewali się, że zaszarżuje na bardziej doświadczonego rywala. Niedoczekanie.

Na jej twarzy pojawił się lekki, krzywy uśmieszek. Podskoczyła, zderzyła podeszwy stóp, po czym znowu wybiła się z ziemi, ale nie w kierunku M'Bakwe. Skorzystała ze sztuki dalekiego skoku i wykonała salto w tył, frunąc nienaturalnie wysoko, może nawet na wysokość palmy.

Zanim wylądowała, wbiła krótszy sejmitar w ubitą ziemię przed Ellesharem. Jeszcze w powietrzu zakręciła ciałem, po czym stanęła przednią częścią stopy na prostokątnej głowicy sejmitara. Stary druid pochylał wolno głowę, obserwując. Jego śniada twarz, przypominająca maskę ściągniętej skóry, zdaniem Calidy miała w sobie coś z pomarszczonej oliwki.



Przez tłum przeszedł szmer wzburzenia przypominający odgłos niby odległego wodospadu.

Balansując na rękojeści sejmitarza, dziewczyna pochyliła się wolno i delikatnie złapała metalową obręcz leżącą obok Elleshara, a ukrytą przed wzrokiem M'Bakwe. Uśmiechnęła się z satysfakcją, krzycząc w kierunku poirytowanego tłumu:

– Zasady mówią, że przegrałeś pojedynek, gdy członki dotkną ziemi za kręgiem. A ja nie dotykam ziemi!

Zerknęła w kierunku areny. M'Bakwe nie tracił czasu, dobiegł do centrum, skąd mógł idealnie kontrolować jej powrót.

– Niedoczekanie! – krzyknęła, obracając się i balansując jak linoskoczek na białej broni.

W locie wyprostowała palec, czym wprawiła w rotację czakram: metalową ostrą na zewnętrznej krawędzi obręcz. Płynnym ruchem nadała jej kierunek i cisnęła w kierunku wroga. Ponownie podskoczyła i zderzyła stopy. Czakram ruszył z wizgiem, Calida odbiła się od rękojeści i wylądowała z gracją na granicy areny.

Skóra na dłoni M'Bakwe zapulsowała. Tuż nad linią nadgarstka wyrosła na niej cienka kość wyglądająca jak sopol. Wojownik wyłapał na niego pocisk, ten zakręcił się wściekle wokół kościanej iglicy. Mnich ostrożnie manipulował dłonią, by wytracić energię obręczy, po czym nagłym ruchem przekręcił rękę w dół, wbijając kolec w ziemię. Czakram wibrował jeszcze chwilę i wreszcie spadł bez energii.

– Nie powinnaś tak robić – skarcił nadbiegającą dziewczynę. – Czakram mógłby zranić widza.

Nie odpowiedziała. Zrobiła wypad do przodu z dłuższym sejmitem w prawej ręce.

On przeniósł ciężar ciała, tanecznie odskoczył w bok, okrążył dziewczynę i dopadł ją z boku. Calida powstrzymała go płaskim cięciem. Wyłapał je na kościany kolec, podbijając jej broń do góry. Zdziwiona odpowiedziała serią ciosów wyprowadzanych z ramienia, lewo, prawo, góra, prawo. Każdy kolejny cios był bardziej zamaszysty, świadczył o coraz większej frustracji, każdy też przecinał powietrze przed M'Bakwe, który wciąż tańczył, uskakując zawsze w ostatniej chwili.

Mnich uniósł dłoń z kolcem do góry, ręka zawisała na ułamek sekundy w powietrzu jak lawina, która za chwilę zejdzie z całą mocą.

Opadająca z sił, zdyszana dziewczyna nie miała siły na uskok, dlatego przygotowała zastawę. I wtedy jej kostka eksplodowała bólem. M'bakwe skorzystał z chwili nieuwagi i podciął ją kopniakiem, co sprawiło, że przewróciła się na plecy. Kolejnym wytrącił jej broń z ręki i natychmiast przystawił kolec do grdyki.

– Koniec – warknął wyraźnie zdenerwowany. – Pierwsze, co zrobiłaś, to nagięłaś zasady tylko po to, by mnie zaskoczyć. Improvizujesz, bez myśli poświęcając jedno ze swoich ostrzy. Zanim zaczniesz nowe tańce i improwizacje, podszlifuj podstawowe kroki.

– Jeśli chcesz dostąpić święceń na następnej ceremonii, słuchaj mnicha. Mądrze prawi – rzekł Elleshar, wstając ciężko. Gestem uniesionej dłoni uciszył plotkujących gapiów. – Życzę sobie, byś spędziła najbliższy miesiąc na medytacjach. Ręka prowadząca sejmitar jest już silna, ale głowa zbyt gorąca!

*

Kontrowersyjne metody poskutkowały długą pogadanką w namiocie, gdzie M'Bakwe oraz sam duchowy przywódca ich Zboru, Elleshar, tłumaczyli dziewczynie, dlaczego szacunek dla reguł jest taki ważny, jeśli chce prowadzić pomyślne życie w Zborze.

Kiedy w końcu uwolniła się od połajanek, postanowiła rozchodzić frustrację i udać się do wioski. Nic tak nie poprawiało humoru jak berbenduińska herbata i mkhanfary ciotuchny M'Akhy, przyjaciółki jej mamy.

Gdy przywędrowała, by dołączyć do Zboru, to właśnie u M'Akhy i jej męża spędziła pierwsze dni i noce, ucząc się pozostałości lokalnego języka i obyczajów. Dla bezdzietnej pary Calida stała się honorową córką. To tu, w malutkim atrium ich pustawego domu, była jej oaza i miejsce wytchnienia.

Jak zawsze przywitały ją życzliwe spojrzenia starszej pary. Wystarczył moment, by ciotuchna przygotowała miękkie, pachnący kadzidłem dywan, aromatyczną herbatę i słodkie przysmaki dla nich obu.

– Cali, co cię sprowadza? – zapytała troskliwie gospodyni.

Calida rzuciła się na naleśniki z kaszy manny, polane obficie miodem i gorącym masłem.

– Pyfny Mhfah – pochwaliła mkhanfary, przeżuując ciasto – Hak hy ho hobih? – zapytała, rozpluwając się z zachwytu.

Tak, tego potrzebowała. Rodzinna atmosfera, żadnych wymagań, czułe przywitanie. Tutaj czas zatrzymał się wiele lat temu i dalej była małą dziewczynką, którą należy otoczyć troskliwą opieką.

*

Zwierzyla się z problemów. Ciotka słuchała uważnie potoku słów, w odpowiednich chwilach pokazując zrozumienie dla jej racji. „Potrzebowałam tego”, pomyślała zadowolona Calida, wzdychając. Poklepała się po brzuchu, wskazała talerz z resztkami.

– Jest trochę masła. Może Gromka będzie chciała? Czy w ciąży nie może? Właśnie, gdzie ona jest?

Dopiero teraz spostrzegła, że choć M’Akha jest miła, to w jej ruchach i zachowaniu czai się smutek. Tknęta niepokojem, słuchała niecierpliwie.

– Nie chcieliśmy cię rozpraszać. Musisz się skupić, niedługo masz święcenia. Nie idzie nam za dobrze. Ahmed choruje, potrzebujemy więcej pieniędzy. Ostatnio w zakładzie odwiedził go rudobrody kupiec.

Calida nalała sobie herbaty, słuchając uważnie. „Żadnych błysków, miauczenia. Że też wcześniej nie zwróciłam uwagi! Głupia ja, myślałam tylko o sobie”, pomyślała ze wstydem, wreszcie zauważając brak magicznej kocicy, jednej ze świętych bestii zwanych Ćnwe. Istot, które jej Zbór czcił jako żywe cząstki Bogini.

– Widzisz, Gromka była w zakładzie i kupiec zagadał o nią, ale nie wydawał się zdziwiony. Zupełnie jakby wcześniej o niej wiedział. Od słowa do słowa wyszło, że jego przyjaciel zajmuje się hodowlą chowańców. Zaproponował takie pieniądze, że... – uciekła spojrzeniem w bok – nie mogliśmy odmówić. Już teraz ledwie wiążemy koniec z końcem, a gdyby pojawiły się młode...

Zapadła chwila niezręcznego milczenia.

– Co zrobiliście? – zapytała ostro Calida.

– Kupiec dał nam kilka godzin do namysłu. Pomyśleliśmy, że się zgodzimy, ale pod warunkiem, że zabierze ją dopiero, jak się okoci. Naciskał, byśmy sprzedali ją natychmiast, zaoferował więcej. Zgodziliśmy się, w końcu za Ćnwe można dostać godziwy grosz nawet od tych, co nie wierzą w ich boskość...

W tym momencie M’Akha pokręciła głową i zapłakała. Calida, choć jeszcze nie wiedziała, co dokładnie się stało, przytuliła starszą kobietę i sama zaczęła płakać tknęta niepokojem.

Krążyła niespokojnie po namiocie. M'Bakwe wodził za nią wzrokiem, przezuwając liść. Calida zaczęła opowiadać, czego dowiedziała się od ciotki oraz ze śladów zbadanych na szlaku.

– Kupiec jechał wozem, widziano, jak wędruje do Al-Shin. Gromka uciekła. Musiała wędrować stamtąd całą noc, a w pyszczku zmieściłaby tylko jedno młode. Czyli trzykrotnie przeszła cały dystans w obie strony. Widziałam na trakcie sierść. Okocenie tyłu młodych, zimna noc, ucieczka... Nic dziwnego, że rano znaleźli ją martwą. Gdybyś to widział! Podobno młode wtulały się w jeszcze ciepłe ciało, ssąc mleko.

– Mała Cali, mówisz, że Gromi uciekła temu, tfu, kupcowi i trzy razy jednej nocy przytargała z powrotem młode? – Mnich pochylił głowę z szacunkiem i zaczął mamrotać żałobne pieśni.

Choć należał do zbrojnego ramienia Zboru, jak każdy wyznawca natury czcił chowańce jako okruchy Boga Życia. Ten dawno temu rozrzucił swoje jestestwo w postaci Înwe – chowańców – po świecie. Dawniej wszyscy czcili Înwe. Teraz, gdy dżungle północy umarły zastąpione przez wielkie miasta, wielu wykorzystywało je dla wygody lub rozrywki.

Resztki kultów z całego świata zjednoczyły się, łącząc obyczaje i tworząc Zbory takie jak ich. Choć wszyscy zgadzali się co do celu, to wciąż pozostał problem wytyczania różnych dróg.

– Ile pręg straciła Gromi? – zapytał po skończeniu modłów.

– Pięć! Co znaczy, że jeszcze dwa kocięta są w niewoli! Posłuchaj, byłam w karawanseraju i przepytałam przybyszy. Jeden bystrooki zauważył, że na sygnecie rudego kupca jest symbol dwóch skrzyżowanych pierścieni.

– Łańcuch Zubaira zwanego kupieckim szejkiem. I cóż?

Zaaferowana Calida pochylila się i z przejściem zaczęła tłumaczyć:

– Wyciągnęłam ze starego, że Zubair prowadzi tajną arenę walk Înwe dla bogaczy, a Duibhe, ten młody druid, od roku pracuje na arenie, szpiegując dla nas. Ty i ja ruszymy tam i uratujemy młode.

Uśmiechnęła się zadowolona. Mnich zaszczekał niczym hiena i poklepał się po udzie.

– M'akha nie jest z mojego plemienia. Zubair najeżdża i zbiera niewolników z ziemi Gulusów, to wrogowie mych braci. Natura go osądzi i spustoszy arenę, ale nie moimi rękami.

– Co? Zubair grzeszy, przecież męczenie Ćnwe to świętokradztwo! Na prawdę nic nie zrobisz?

– Mała Cali, uspokój się. Skoro Duibhe szpieguje, to mądry Elleshar ma plan. Zostaw to piaskom czasu, a dach niesprawiedliwego Zubaira zawali się, krowy staną się jałowe, a dzieci umrą.

– Elleshar mruczy o zbieraniu dowodów, pisaniu listów do władców i różnych mądrych gildii. Gadaniem i pisaniem nie uratujemy tych biednych Ćnwe! Rok już piszą te listy, zbierają dowody. Tamci mądrzy panowie gadają, ale mają w nosie nasze problemy!

M'Bakwe rozłożył ręce w geście bezradności.

– Przysięgam bronić naszych braci i Ćnwe, kiedy jestem świadkiem ich krzywdy. Ale jestem synem mego plemienia. Jak Zbór wyda Jihad, zanurzę ręce we krwi Zubaira. Dopóki nie dostanę rozkazu, będę cieszyć się daktylowym winem w mieście Al-Shin, gdzie zaczekam na gości pielgrzymujących na święcenia. A tobie dobrze radzę: do czasu ceremonii lepiej pomedytuj nad swoim zachowaniem, a za Gromokocięta złóż ofiarę i pomódl się szczerze.

*

Stukot laski oznaczał, że szczupły młodzieniec w jaskrawożółtej dżalabiji wyszedł z bramy prowadzącej do katakumb. Jak zawsze minął obojętnie krzątających się na placu niewolników. Ci uwijali się wokół żelaznych klatek, czyszcząc je z pozostałości po schwytanych bestiach i ludziach. Przy tartaku kilku M'Gaurów w łańcuchach obrabiało drewno, które później wykorzystywano do budowy amfiteatru, przytulonego do zewnętrznej części murów.

– Hej, Ang! – ryknął Khan, łysy, umięśniony dowódca gwardii, stojący w lekkim rozkroku przy kuźni po drugiej stronie placu, tuż obok bramy z piaskowca.

W skórzanym pancerzu przy pasie, jak zawsze, miał kolczasty bicz i krótki gladius. W muskularnej łapie, pokrytej tatuażem skolopendry, trzymał wielką kość, o którą siłował się z jedną z paszcz trzygłowego Ćnwe zwanego Cerberem. Pozostałe łby patrzyły zazdrośnie, wypuszczając kłęby dymu.

– Widzę, że to szczątki Kamiennego Tura. No tak, u szejka nic się nie zmarnuje. Nasz pan winien chwalić spryt Khana, swojego najlepszego rycerza – wyrzekł Duibhe znany tutaj jako Ang. Modlił się, by oczy nie zdradziły smutku, jaki wzbudzały w nim takie widoki.

– Ha! Pa, jak szarpie i walczy – krzyknął tamten, wyciągając bicz. Trzasnął bestię po pysku. Ta zaskomlała i potulnie opuściła łby. – Cicho, Szejtan! Słuchaj pana!

Z namiotu Duibhe wychynęła dziwnie znajoma głowa. Jego brwi uniosły się lekko ze zdziwienia.

– Panie, czekam na polecenia.

Chrząknął, zmieszany. Calida miała nadzieję, że zaraz zrozumie, iż wkradła się tu, aby udawać jego niewolnicę. Khan, błędnie interpretując jego konfuzję, rzucił:

– Ha! Nowa niewolnica? Skądżeś ją wziął? Możesz grzać mu łoże z obowiązku, ale jak będziesz chciała poczuć męczyznę, chodź do mnie!

W oczach kobiety zagrały zielone iskry gniewu. Otworzyła usta, ale wtedy Ang stuknął laską o bruk i powiedział spokojnie:

– Niedoczekanie. To ja za nią zapłaciłem. Bywaj.

Skinął sztywno głową i ruszył szybko w kierunku swojego namiotu. Łysy splunął gęstą śliną. Głęboki brzęk odwrócił jego uwagę od rozmówcy. Khan podszedł żwawo do niewolnika zbierającego okruchy glinianego dzbana. Zmrożony Duibhe wepchnął Calidę do namiotu, mnąc przekleństwa i zastanawiając się, jak udał jej się ten podstęp. Drgnął, kiedy usłyszał ostry głos Khana.

– Śmieciu! Rozlałeś trującą wodę naszego pana!

Do melodii bicza dołączyło chropowate, rozedrgane crescendo krzyżującego M’Gaura.

☆

Roztrzęsiony Duibhe pokazał palcem kilka zawiniątek, które leżały przy rozkładanym stoliku. Usiadł rozeźlony i warknął:

– Jeśli dobrze pamiętam, jesteś przed święceniami? Skąd się tu wzięłaś? Wiesz, co ja tu robię?

Dziewczyna uśmiechnęła się, rozsypując jeden z pakunków. Oczom druida ukazał się wspaniały srebrny seymitar, długi na jakieś dwadzieścia cali. Oksydowane ostrze pokryte rozmaitymi runami, które wpleciono w klingę na tyle subtelnie, że były widoczne dopiero po bliższym przyjrzeniu się broni.

– Wiem, co robisz. Przybyłam uratować İnwe, szukam dwóch Gromokociąt. A ty mi pomożesz. Ślubowałeś!

– Dziewczyno! Najadłaś się szaleju? Skąd się w ogóle wzięłaś?

*

Opowiedziała wszystko, z trudem próbując zignorować dochodzące z placu wrzaski. O Gromi, beczynności innych, wynikach śledztwa i „pożyczeniu” ekwipunku, który miała otrzymać po święceniach.

– Dowiedziałam się, że szpiegujesz u tego handlarza tarry. Zawędrowałam do miasta. Pokręciłam się po targu, by zdobyć informacje, i tak trafiłam tu.

– Wybacz, nie wiem nic o Gromokociętach – zaczął pospiesznie. – Twój opis pasuje do kuźniarza, twórcy magicznych narzędzi o imieniu Anouilh. Ma laboratorium w podziemiach. Nadal zabraniają mi tam wchodzić. Dlaczego ci uwierzyli, że jesteś moją niewolnicą? Skąd ten znak? – Wskazał piętno widoczne na ramieniu blondynki odzianej teraz w prostą tunikę.

– Za pomocą henny i ziół przygotowałam znamię niewolnika.

– Skąd wzięłaś hennę i zioła?

– Jestem kobietą i jestem tropicielką – odpowiedziała, przewracając oczami i przeciągając głoski w oznace irytacji. – Tutaj dokupiłam pokrzywę i przygotowałam masę, która rozjątrzyła skórę. Dopóki się nie przyjrzysz, wygląda na świeżo wypalone.

– To niebezpieczne! Słuchaj, ja pracuję tu od ponad roku. Tego kupca nieprzypadkowo zwą szejkiem. Ma wielkie wpływy: prowadzi nielegalne biznesy, w tym walki Īnwe niezgodne z zasadami, jakie narzucają traktaty gildii z północy. Zrobimy tak, odeślę cię i powiem...

– Nie! To, co robisz, jest bezużyteczne. Ty się modlisz i piszesz listy, Elleshar się modli, śle je do gildii i nic. Pomożesz mi znaleźć młode. A jeśli nie, to załatwię to bez twojej pomocy! Powinieneś się nazywać nie Duibhe, tylko Dupek.

Szpieg pociągnął łyk herbaty i się zakrztusił. Był wyraźnie zszokowany rewelacjami dziewczyny i obcesową krytyką swoich poczynań.

– Ile mamy czasu do otwarcia nowej areny?

– Miesiąc. W tym czasie będą jeszcze dwa turnieje w katakumbach.

– Daj mi ten miesiąc. Jeżeli znajdę sposób, by je uwolnić, to mi pomożesz. Jeśli nie, odejdę. Zgoda?

Potaął spocone czoło i zerknął na poły namiotu. Westchnął i zabębnił palcami po powierzchni jasnego kostura.

– Tak.

Rozdział II

Ostatni dzwon

Corvo, Bramin

Dzwon na wieży bramnej zadudnił uroczyście, ogłaszając południe i witając parę detektywów na starówce Radymicza, stolicy Mezji, księstwa z północnego kontynentu.

Weszli od ulicy bazarowej, gdzie rzemieślnicy dwoili się i troili, próbując sprzedawać rękodzieła i tandetne precjoza na kramach, konkurując ze stoiskami obwoźnych czaręśników sprzedających tanie artefakty.

Ubrana wściekle kolorowo młodzież z bogatszych domów krzątała się po mieście.

Kiwający się śmiesznie Bramin zatrzymał się, by spojrzeć z zaciekawieniem na stoisko z ulicznym jedzeniem. Pocieszy grubasek wytarł materiałową chusteczką pot z czoła. Oblizał się, zerkając na pachnące mięsnym dymem szaszłyki. W wielkiej jak pajda chleba dłoni trzymał nadgryziony, parujący pączek, owinięty pergaminem.

Sprzedawca ubrany w fartuch i czepek uśmiechnął się, dolewając zielonego płynu do ognia. Żywiół buchnął, niosąc zapach pieprzowego cynamonu. Partner Bramina przepchnął się stanowczo między dwoma fircykami.

– Nie dość, że parno, to kiep jeszcze dolewa do pieca – warknął Corvo, zgarniając opadające na czoło tłuste strąki grzywki.

Mina kupcowi zrzedła, kiedy zobaczył jego wykrzywioną twarz. Twarda szczeka pokryta kilkudniowym, niedbałym zarostem dodawała surowości, a pomarszczone, posiekane gęstą siecią blizn policzki, w połączeniu

z dzikim spojrzeniem przymrużonych, żółtawych oczu, sprawiały, że męczyzna przywodził na myśl wilka. Szykującego się do walki. Bardzo szpetnego wilka o parszywym pysku.

Zlepiona potem koszula kleiła się do torsu, podkreślając mięśnie. Z lekko wydatnym brzuszkiem i szerokimi ramionami wyglądał, jakby dzięki ciężkiej pracy fizycznej dorobił się kiedyś muskulatury godnej zapaśnika, aby teraz powoli obrastać tłuszczem. A co do tłuszczu...

– Znasz powiedzenie: „jesteś tym, co jesz?” – zapytał chrapliwie Corvo, wskazując wypełniony boczkiem pączek słusznego rozmiaru.

Bramin zawstydział się jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku: splonął rumieńcem i zaczął pożerać przysmak, jakby od tego zależało jego życie.

– Nie przyszliśmy na wycieczkę, tylko odpytać Jeremiego, czy jego syn szłał się po Mętach, pamiętasz? Idź, zanim sam kupię i schowam ci ten szaszłyk w rzyci.

Bramin spojrział tęsknie na mięsko, ale spiorunowany wzrokiem Corvo posłusznie ruszył dalej. Na szeroką ulicę przed nimi wkraczała właśnie nastoletnia dziewczyna o orzechowych włosach, w nieco za dużej burej sukni skrojonej na modłę sprzed kilkunastu lat.

Bramin popędził do przodu i zatrzymał rozpędzającą się bryczkę, by ułatwić kobiecie przejście. Corvo podszedł do sapiącego, opierającego dłoń na kolanach partnera.

– Podinspektorze Bramin, znowu uratowaliście świat – zażartował Corvo, uśmiechając się kwaśno.

Nagle jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, wiedziony instynktem spojrzął w wylot sąsiadującej uliczki. Jakiś nieszczęśnik z krzykiem wypadł z okna i rozsmarował się na ulicy, wzbudzając skrajne reakcje tłumu.

Bramin zamarł z pączkiem w połowie drogi do ust, topiąca się słonina spływała mu po kciuku. Twarz Corvo wykrzywił grymas, który przy dużej dozie dobrej woli można by nazwać uśmiechem.

– Wygląda na to, że mamy ciekawy dzień.

*

– Muchy zawsze zlatują się do gówna, a ludzie w miejsca wypadków – mruknął Corvo.

Czemu tak jest? Nie miał pojęcia, ale z doświadczenia wiedział, że krwawe tragedie przyciągają mieszkańców stolicy. Żebrak, goniec, nawet



dama z dostojnym młodzieńcem: oni wszyscy i nowi widzowie dołączyli do tego spektaklu, w którym śmierć to dopiero początek.

Corvo otrząsnął się z rozmyślań. Chudzielec w czarno-żółtym pancerzu Straży Diennej rozglądał się, nie wiedząc, co zrobić.

Bramin, dysząc, wyszedł z alejki i pokręcił głową na znak, że nic nie znalazł.

Corvo zniecierpliwiony wrzucił ręce w tłum, jakby płynął zabką, i zaczął rozstawiać na boki krnąbrnych gapiów.

– O co ci chodziło z tym dobrym dniem? – zapytał drepczący za nim Bramin.

– Nie musimy kręcić się jak gówno po bazarku, szukając tego taniego złodziejaszka – wyjaśnił. Podniesionym głosem rzucił do strażnika: – Młody! Przegnaj gapiów, zagwiżdż po kolegów i dopilnuj, żeby nikt nie wychodził z kamienicy.

Odwrócił się do Bramina.

– Zabezpiecz mieszkanie, wygląda na to, że to będzie czwarte piętro. Sądząc po konstrukcji kamienicy, to pewnie drzwi po lewej.

Młody strażnik dyszał ciężko, zerkając to na ciało, to na Corvo. W końcu zebrał się na odwagę i zapytał nieśmiało:

– A tyś co za jeden... panie?

Kucnąwszy, Corvo obserwował już wykrzywione pod dziwnym kątem plecy denata, jednak na pytanie strażnika wyprostował się i spiorunował go wzrokiem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej okrągłą, srebrną odznakę, którą podstawił rozmówcy pod nos. Tamten odsunął się i przyjrzał prostemu symbolowi wybitemu na rewersie amuletu. Z blachy patrzył na niego profil wężącego dobermana, okolony dewizą „Jesteśmy na tropie”.

– Pies... Nocna Straż! – wyszeptał sensacyjnym tonem Dzienny. Na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech, a z ust wyrwało się ciche westchnienie. Cieszył się, że nie musi już myśleć, a może się skupić na wykonywaniu poleceń funkcjonariusza służby delegowanej do spraw kryminalnych.

*

Kilkuosobowy kordon wytyczył zabezpieczoną przestrzeń i z polecenia Corvo dokonywał przesłuchania świadków.

Bramin zniknął w środku. Corvo przyglądał się ciału wygiętemu pod nienaturalnym kątem z szeroko rozczapierzonymi rękoma.

Denat ubrany był w rozchełstaną jedwabną koszulę, teraz bordową od krwi, oraz w aksamitne spodnie w kolorze głębokiej czerni. Wystająca pod ostrym kątem od prawego biodra pochwa rapiera odginała się niczym noga makabrycznego cyrkla. Corvo wyciągnął z kieszeni mały nożyk, po czym delikatnie rozciął koszulę wzdłuż całego ciała, by zajrzeć pod materiał.

– Hmm... ciekawe – mruknął, zauważając liczne fioletowe krwiaki, niczym sznur dorodnych winogron zdobiące lewą rękę. Oprócz nich zagnieździło się tam kilka rozległych siniejących plam, będących skutkiem dość mocnych stłuczeń. Corvo zamknął oczy i kiwając się w miejscu, zaczął mruzczyć: – Wybity palec środkowy i serdeczny prawej ręki, złamany palec mały i nadgarstek w lewej, palce lewej blade jakby od mocnego zaciskania jakiegoś przedmiotu, palce prawej ubabrane krwią i atramentem. – Przerwał na chwilę rytuał i znów pochylił się nad ciałem.

Najdelikatniej, jak tylko potrafił, przechylił je do boku, by ponownie przyrzeć się miazdze będącej niegdyś torsem nieboszcza. Teraz denat patrzył na niego połową twarzy.

Ofiara wyskoczyła głową do przodu, siła uderzenia wgniotła czaszkę od czubka aż po prawą skroń, mieląc oko, roztrzaskując policzek i wgniatając szczękę w krzywy, jakby ironiczny uśmiezek truposza.

– Cieszę się, że dobrze się bawisz – zażartował pod adresem nieboszczyka Corvo.

Delikatnie odłożył ciało na miejsce i zamiast notować, kontynuował rytuał mamrotania, oczy znów powędrowały w głąb.

– Strzaskana lewa ręka, upadek głową do przodu sugeruje celowe wyskoczenie z okna, przy prawym boku pusta pochwa, butów brak.

Przestał skupiać się na ciele. Przypomniawszy sobie o reszcie świata, rozejrzał się z zadowoleniem, oceniając pracę strażników. Z wnętrza kamienicy przydreptał Bramin wymachujący jakimś pergaminem.

– Patrz, czyj to syn!

Corvo spojrzął na nazwisko umieszczone na dokumencie i zagwizdał.

– Jest coś jeszcze... W jego mieszkaniu znalazłem rozbite lustro.

Brwi Corvo uniosły się lekko. Mężczyzna podrapał się po dywanie zarostu okalającego mu szyję. Bramin czekał z napięciem na reakcję kolegi, mocno splatając tłuste dłonie.

– Poprowadzimy to do końca – zdecydował Corvo, nieco nadużywając jurysdykcji.

Ze służbowej sakwy wyjął małą kościaną płytkę wielkości paznokcia.

– Nie cierpię tego robić – mruknął.

Wyszeptał formułę, sprawiając, że artefakt się powiększył i wyglądał teraz jak antyczna, teatralna maska zastygniętej w szoku twarzy. Westchnął, nałożył ją na twarz, a ta przywarła jakby przyklejona do skóry. Wciągając z trudem powietrze, wymacał w sakwie małą, białą kosteczkę. Miała ona dwadzieścia ścianek, kilka z nich zapisano magicznymi glifami.

Corvo wrzucił kostkę w cienistą czeluść wykrzywionych szokiem ust, a ta zawibrowała i zaczęła kręcić się wokół własnej osi. Mężczyzna wypuścił powietrze ze świstem i wysyczał:

– Gonzo!

Kostka się obróciła, zatrzęsała, po czym rozległ się charakterystyczny trzask. Corvo usłyszał przeciągający zgłoski, oblepiony zblazowaniem albo alkoholem głos:

– Co jes', Corvo?

– Robota – odpowiedział oschle. – Potrzebuję czaręsnika kryminalistyki. Zapieprzaj na Szafirową.

– Poe'bao cię – zaszumił niewyraźnie głos kolegi. – To nie nasz rewir.

– Czuję, że to będzie dobra sprawa, żeby się odbić w oczach starego. Jak będzie premia, to ci skołużę flachę bimbru Aleksieja.

– To ten słynny skonfiskowany w sobotnim nalocie, co to ma w sobie jad Dendraków? – W głosie Gonza pojawiło się zaciekawienie, może nawet ekscytacja. – Co to jes' przeznaczony do całkowitej likwidacji?

– Ten sam, Gonzo. Ten sam. Przybywaj... ekspercie. – Ostatnie słowo rzucił z niesmakiem.

Bramin pokręcił głową.

– Okazałbyś nieco więcej szacunku. To miejsce tragedii.

– Jak każde miejsce pracy – odciął się Corvo i poirotowany bardziej niż zwykle pacnął partnera w dłoni. – Ty dalej z tym ciemnogrodem? Co ci się stało, kryzys średniego?

Urażony Bramin cofnął się i ponownie złączył dłonie, po czym ostentacyjnie odwrócił się bokiem. Mruczał coś pod nosem, ignorując dalsze złośliwości.

– Mantra? No wiesz? Kto w dzisiejszych czasach praktykuje religię? Jakies niemyte dzikusy na Południu. Ale tutaj? Daj sobie spokój, oszczędź wstydu.

Bramin zadarł głowę i z widoczną urazą wycofał się do kamienicy.
Coraz bardziej poddenerwowany Corvo krzyknął ze złością:
– Chcesz się rozluźnić? To ci opłacę murwy, tańsze są od kapłanów!
Strażnik Dzienny kaszlnął i wskazał głową na tłum zniesmaczonych gapiów.

Corvo machnął niedbale ręką i drżącymi dłońmi odpalił lulka.

*

Napędce rozstawiony parawan osłaniał ciało. Dość wysoki gnom właśnie skończył wstępne oględziny i chował skalpele, nożyczki, młotki i obcinaki oraz kilka dziwnych próbek do skórzanego nesesera pełnego takich właśnie sprzętów.

Odszedł na kilka kroków od trupa, zdjął grube gogle ze skórzaną taśmą i sięgnął po butelkę wody do leżącego za parawanem kuferka.

W ubiorze stylizował się na pirata. Skórzana kamizelka i czerwona chusta na głowie w tym upale musiały bardzo uprzykrzać mu życie, podobnie jak długie kasztanowe włosy spięte w kucyk, sięgający niemalże do pasa. Oprócz tego były oczywiście spiczaste uszy, nikczemny wzrost i bardziej szarawa skóra.

Odsłonił zęby w uśmiechu, prezentując czeluść wypełniającą przestrzeń po górnej jedyńce, i podrapał się po brązowych bokobrodach. Zaczął monolog, nieco rerając:

– No fajna sprawa. Obrażenia głowy i lądowanie na ulicy z rozłożonymi rękami sugerują, że nadał sobie energii biegiem i wyskokiem, nie spadł, nie został wypchnięty. Od tego ma złamania kości kończyn górnych, uszkodzenie krezki jelitowej i pęknięcie obu nerek. Najbardziej oberwały klatka piersiowa, jama brzuszna i kręgosłup, wiadoma sprawa. Ma też wybity ząb, ale nie znalazłem go tutaj i nie wydaje mi się, żeby przyczyną był upadek, choć rana jest świeża.

– Mhm.

– Ale co jest naprawdę ciekawe, to te wszystkie siniaki i stłuczenia. Wygląda na to, że nasz skoczek, zanim wybił się z progu, został porządnie spalowany.

– Czy na którejś ręce jest więcej obrażeń? – zapytał kiwający się w przód i tył Corvo.

– Ta, ciekawe, że o to pytasz. Lewe przedramię jest mocniej stłuczone. Więcej dowiem się podczas sekcji w laboratorium.

- Czy pobieracze aury coś wykryły?
- Nie, żadnej wyczuwalnej magii w organizmie. Więć, co chcesz powiedzieć, pozwól, że ci przerwę: trucizny żadnej też nie ma.
- Dobra, spadajcie z ciałem. Młody – zwrócił się do poznanego wcześniej strażnika – zbierz mi do kupy notatki z przesłuchań przechodniów. Idę do środka zbadać mieszkanie.

✱

W kamienicy na improwizowanym stanowisku urzędował Bramin. Przesłuchiwał węzyk mieszkańców, ciągnący się przez cały hol aż do schodów. Jego serdeczność uspokajała rozmówców.

Corvo szepnął:

– Coś ciekawego?

– Gnom to tutejszy dozorca, od niego się dowiedziałem, że ojciec tego biedaka jest właścicielem kamienicy. Tak, nie myliłeś się co do nazwiska. To syn cześnika Feliksa Deliszewskiego herbu Oksza. Z tych Okszów.

– Herb kobarzę, ale nie znam się na polityce. Coś ciekawego?

Bramin wyjął z kieszeni brudną chustkę, którą zaczął masować swoje spocone skronie. Pokręcił głową i mruknął:

– Może Gonzo będzie wiedział.

– Niezawodny Bramin – zacmokał Corvo. – Jak zawsze mistrzowsko unikaszesz wykorzystania okazji do błysnięcia. Sprawdzę miejsce zbrodni, potem przepytam dozorcę.

– Co za drań popełnia samobójstwo w taki parny dzień? – wysapał na odchodne Bramin. – No co? Pomodliłem się i wyraziłem żal dla umrzyka, ale działa na mnie zawodowa rutyna. Kto z kim przestaje, ten znajdzie. A mnie się trafił wyjątkowy cynik.

Czoło Corvo przecięła bruzda.

Bramin klepnął go w ramię.

– Spokojnie, ja akurat wiem. Nie jesteś taki.

✱

Corvo machnął strażnikowi blachą przed nosem i wszedł do środka. Przekraczając próg, minął dyndające nad nim amulety. Corvo ujął delikatnie w dłoń jeden z pozbawionych skazy kryształowych kielichów, po czym go puścił, by przyjrzeć się śladom, jakie zostawiły jego palce.

– Hmm, nowiotki łapacz dźwięku.
– To chyba sąsiedzi nic nie słyszeli, ta? – zagadnął strażnik.
– Niczego nie dotykałeś? – rzucił oschle Corvo, na co strażnik szybko pokręcił głową.

Skromny, ale elegancko urządzony przedpokój teraz wyglądał jak podrzędna speluna po szarpaninie dwóch osiłków. Przewrócona komoda, strzaskany światłokryształ – bardziej nowoczesna wersja magicznej lampy – złamany wieszak, na podłodze ślad świeżej krwi i odrobina jakichś trocin, które przy bliższych oględzinach okazały się brzoźowymi witkami, obok których leżała samotna ostroga.

Drzwi do łazienki zastał zamknięte. Po ich otwarciu stwierdził, że pomieszczenie wygląda na nienaruszone.

Sypialnia z łóżem była otwarta, ale również nietknięta.

Wciągnął powietrze. W pokoju unosił się świeży zapach ziół sprzyjających pracy intelektualnej.

– Hmm – mruknął, taksując spojrzeniem każdy cal pomieszczenia.

Niemalże wszystkie meble i rekwizyty ułożono z dużą dozą pedantyzmu.

Corvo wydedukował, że pomieszczenie pełniło jeszcze rolę gabinetu, na co wskazywały umieszczone na samym środku biurko na wygiętych nóżkach oraz przyklejone do ścian regały z książkami. Pod jedną z nich na cokole umieszczono popiersie antycznego filozofa. Na pulpicie biurka pieczołowicie rozlokowano czytaną ostatnio książkę, pióro, inkaust i pergamin zapisany równym rzędkiem notatek – eleganckich zawijasów z równymi odstępami i zachowanym marginesem, mimo że pergamin ze skóry jagnięcej nie zawierał linii pomocniczych. Rzeczy były ułożone od najmniejszej do największej.

Śledczy notował w pamięci detale, znowu mamrocząc coś pod nosem z przymkniętymi oczami i kołyszącym się ciałem. W końcu opuścił pomieszczenie i przekroczywszy rozbitą donicę paprotki, wszedł do salonu, który wyglądał, jakby przeszedł po nim huragan.

W okrągłej ramie przetrwało kilka płatów pękniętego szkła, odłamki rozsypały się po dywanie.

– Mamy tu rozbite Zwierciadło Posłańca! – krzyknął w kierunku strażnika – Nie łaźć po salonie, poczekać, aż Gonzo pozbiera odłamki, może uda się odtworzyć lustro i zobaczyć zapis ostatnich rozmów.

Ostrożnie przeszedł nad odławkami, rozglądając się dalej.

Strzaskany wazon z egzotycznymi kwiatami, biały obrus poznaczony krwią, długie pióro leżące na zabrudzonym dywanie, na który spadły łyżka i fragmenty talerza. Wielki blat wyglądał jak miejsce walki. W poprzek leżał rapier.

Prawdziwa fortuna upstrzyła się wokoło w postaci resztek potrzaskanej, nowoczesnej i drogiej zastawy samoprzygotowującej typu „stoliczku, nakryj się”.

Corvo kucnął obok porcelanowego pobojowiska i podniósł dwa czyste noże. Następnie za ich pomocą podniósł wymięty pergamin, który prawdopodobnie wyjęto z jednego z wysuniętych kredensów ulokowanych przy ścianie. Z trudem odcyfrował koślawe gryzmoły zapisane na kawałku pergaminu:

„Przepraszam za wszystko mój ojciec zgotował nam piekło nie mogę tego dłużej wytrzymać zostawiam ci wszystko proszę wybaczyć że byłem takim potworem jak ojciec nie mogłem być taki jak on dlatego zostawiam ci wszystko dla naszego syna mój herb, majątek tylko proszę opuścić stolicę jeśli zostanie burmistrzem bo uprzykrzy ci życie agato”.

– Hmm... Gonzo! Jak zrobisz swoje, zajmij się składaniem lustra.

Gonzo, który właśnie wszedł do mieszkania, zdjął czerwoną chustę i zaczął się nią wachlować. Rozejrzał się wkoło i mijając okruchy szkła, podszedł do barku, z którego zachęcająco wychylały się szyjki butelek.

– Ej, w taki gorąc aż grzech nie skorzystać. Ma krwawnikowe, rocznik minus dziesiąty.

– Nie – uciął Corvo. – Uwieczniaj i zajmij się robotą. Chociaż... chodź ze mną do sypialni. Zerknij mi na te pergaminy na biurku, co to za skóra?

– Wiesz co, wydaje się, że to welin.

– Kaducznie. A teraz powiedz, co to welin.

Gonzo pokazał wyszczerbiony uśmiech. Wziąwszy się pod boki, perorował:

– Wyśmienity pergamin, cieniutki i delikatny jak piczka tego biednego szlachcica. Obstawiam, że ten jest zrobiony ze skóry nienarodzonych cieląt, prawdziwy rarytas.

– Hmm... a zerknij na to.

– Ooo, list samobójcy! Meh, nudy. Z dokumentów wynika, że nasz skoczek to syn słynnego Feliksa, szlachcic co się zowie, a w swoim ostatnim tekście nawet wierszyka nie rzucił? Słabo, musiał umierać z braku weny – zakpił Gonzo.

Corvo machnął ręką zniecierpliwiony, sykiem przywołując gнома do porządku.

– Dobra, już. Wygląda na to, że jes’ poplamiony świeżą krwią, sprzed chwili, a materiał to jakaś zwykła skóra owcza czy coś ten teges.

Coś w kieszeni Gonza zawibrowało. Gnom wyciągnął małą próbkę, która właśnie wypełniła się żółtawą mgłą.

– Hej, mamy świeże wykorzystanie aury... jakaś prosta transmutacja, nie... – Powąchał zawartość. – To będzie jakby telekineza obiektu. To może być z tej zastawy typu „nakryj się”, ale jest chyba coś jeszcze.

Gonzo wyciągnął niepozorny, powykrzywiany patyk i zamknął oczy, skupiając się na wyszukiwaniu magii.

Powoli, niczym różdżkarz szukający żył wodnych, spacerował po pokoju. W końcu przy wybitym oknie znalazł długą zakrwawioną miotłę.

– Mordercza miotła? – rzucił głośno – Nietypowe. Ciekawe. Coś nowego. Dzięki, że mnie wezwałeś. Może uda się zbadać jej magiczne aury.

Corvo wrócił do salonu i ponownie się rozejrzał, wzruszeniem ramion kwitując monologi Gonza. Na kredensie znalazł rozerwany papier, w który zapewne była zapakowana miotła. Tknięty przecuciem podszedł do białego kufra wyglądającego, jakby wyrzeźbiono go w śniegu.

– Mamy gąsiorek z jakimś sokiem czy nalewką, ciasto, schłodzone kie-liszki. Wygląda na to, że nasz... Jak on się nazywa?

– Wit – wtrącił wchodzący do pomieszczenia Bramin.

– Wygląda na to, że Wit szykował jakieś smakołyki, ale nabrał ochoty na skoki do wody bez wody – kontynuował Corvo.

Gonzo stanął na środku pomieszczenia i wyjął z neseseru szarą, okrągłą kulę. Corvo umknął do przedpokoju, pociągając za sobą Bramina, a gnom założył gogle, po czym uniósł kulę wysoko nad siebie.

– Odpalam kryształ magnezjowy. Błysk i zapis pomieszczenia za minutę. Bramin zaśpiewaj coś, będzie mi się nudziło.

– Gonzo, sprawdź, czy coś z kufra chłodzącego jest zatrute albo przeklęte. I powiesz mi potem, co wiesz o rodzinie Wita.

✱

Łysiejący, ubrany po mieszczańsku gnomi dozorca plotkował z dwiema starszymi mieszkankami kamienicy. Kiedy Corvo skinął głową, tamten pożegnał kobiety i udał się razem z inspektorem do swojego gabineciku.

Pocziwy staruszek chrupał intensywnie patyczki węglowe będące przysmakiem jego rasy.

Po krótkim i obcesowym przyciśnięciu przez Corvo wreszcie zaczął mówić więcej:

– Zaczekaj! On praktycznie nie opuszczał Staromiejskiej lub Ratuszowej, był prawdziwym dzieckiem miasta. Grywał w brydża, warcaby, chciał żyć jak klasyczny ideał arystokraty z dawnych ksiąg. Przez swoją... dawną przyjaciółkę poznał myśliwego, który wynajmował tu trochę piwnic, ale zalegał z płatnościami. Nie było to jednak problemem, bo panicz zakochał się w polowaniach. To dało mu nową radość i więcej wigoru. Był prawdziwym przykładem tradycyjnego patrioty z wysokich sfer. Był...

– Poetą wielkim, murwa, był, ciągle gonił wiatr? Dobra, skończ już to spuszczenie się. To mówisz, że ten kolega myśliwy nie musiał jeszcze spłacać zaległości? Jak on się nazywa i gdzie go znajdę?

– Kiedy nie poluje w Cierniowie, przebywa w Mandolinie. Nazywa się Jaromir Damboń. Nie chciałbym na nikogo sprowadzać kłopotów, ale... oni się ostatnio pokłócili, będąc w herbaciarni, tu na dole. Pan Jaromir śmiał uderzyć panicza w twarz, na korytarzu. Udawałem, że tego nie dostrzegam. To przez pana Jaromira panicz poznał... pannę Agatę.

– Skoro tu wynajmuje piwnice, to masz papiery z jego adresem. Migiem mi to znajdź i nie chcę słyszeć kwękania o żadnych nakazach. Dasz mi go albo zamkam cię na dobę.

*

Corvo przeszedł w kierunku otwartego okna. Przyjrzał się płaskim plamom błota. Na podłodze znalazł kilka sosnowych igiełek.

Bramin, który rozmawiał ze sprzątaczką, podziękował jej i podszedł do kolegi.

– Niech Gonzo zabezpieczy też te plamy. I jak sytuacja? – zapytał Corvo.

– Gonzo potwierdził tożsamość.

– Ho, ho. To zaraz tu spece ze Stołecznej będą przetrząsać każdy skrawek i szukać tysiąca możliwych wersji – sarknął Corvo gorzkim, sugerującym „to niesprawiedliwe” głosem. – Masz coś ciekawego?

Bramin przytaknął, otwierając poplamione notatki.

– Z rozmowy ze sprzątaczką. Wit kupił ostatnio łapacze dźwięków. Domyśla się, że przez coraz częstsze kłótnie ze swoją narzeczoną. Podobno

widziała, ale to tylko między nami, jak Wit schadzał się ostatnio z jakąś blondi. A ruda narzeczona ostatnio chodziła jakby smutniejsza, z zapłakanymi oczami.

Corvo wyszczerzył zęby.

– Stare baby jak zawsze najlepszym narzędziem wywiadowczym.

– Słuchaj, ta jego dziewczyna już jest cała załamana. Przesłuchujemy czy czekamy na agentów z głównej?

– Pytasz, a wiesz, Bramin. Pytasz, a wiesz.

✱

Rozmawiali w sypialni z partnerką zmarłego, Agatą. Po odsłuchaniu pożegnalnego listu wyglądała naprawdę żałośnie: sińce pod oczami, zamaskowany nos, wilgotne oczy, nienaturalnie mocno zaciśnięte usta oraz ściągnięte brwi odciągały uwagę od całkiem zgrabnej figury owiniętej w bładoniebieską suknię.

Bramin podawał kolejne chusteczki, a filigranowa rudowłosa o krótkiej fryzurze wydmuchiwała w nie nos, pochlipując. Kontynuowała przerwany monolog, trzymając w rękach filiżaneczkę z ziołową herbatą uspokajającą.

– Ostatnio stracił blask w oczach. Spotykał się z przyjaciółmi, bawił się i polował, ale konflikty z ojcem zabierały mu radość dnia. Przepędził opiekunów, którzy mieli go pilnować. Jego ojciec...

– Feliks? Co z nim? – zainteresował się Corvo.

– On mnie nie lubi. Boję się o... – zawałała się, zerkając na bok – o swoje bezpieczeństwo – dokończyła szybko.

– Dlaczego coś miałoby pani grozić ze strony niedoszłego teścia? – zapytał spokojnie Corvo.

– On... – spojrzała smutno w podłogę, po czym kontynuowała gorzko, zaciskając mocno palce na filiżance: – nie chciał, by Wit wiązał się „z plebsem”, jak to ujął.

– Przeszkadzało mu, że pani jest drobnomieszczanką? – dopytał ostrożnie Bramin, na co kobieta niechętnie przytaknęła.

Drżącym palcem wskazała list trzymany ostrożnie przez Corvo.

– Boję się, że będzie chciał znieważać ostatnią wolę Wita. Wzięliśmy ślub w tajemnicy, na jednej z wycieczek do Międzyzlasu. Zostanę wdową. Chyba... Myślę, że Witowi zabrakło sił, by przeciwstawić się surowemu ojcu. Nie wiem, co teraz będzie, jak cześnik zostanie burmistrzem. Zatuszuje

testament Wita i zostaną z niczym. On anuluje nasz ślub. Udzieliła go nam bez świadków wędrowną szamanka.

– Hmm, coś takiego łatwo podważyć – podsumował Corvo.

Odwrócił się i niemal bezgłośnie powtórzył słowa Agaty, zaś jego ślepią znów obróciły się w głąb czaszki.

Agata zadrżała i pękła, płacz przemienił się w żalostną histerię.

– To takie przykre, że on targnął się na swoje życie! Nie będę mieć nawet jego... nazwiska! Cześćnik Feliks wyrzuci mnie z miasta! – zawyła.

Bramin poklepał kobietę po plecach, mrużąc:

– Proszę się nie martwić. Zaprotokolujemy wszystko, powinna pani dostać swoją część spadku. Mamy już uwiecznioną treść pisma, pieniądze nie wystarczą, żeby to wykasować. Ale wytniemy z pani zeznań fragmenty negatywne, żeby nie oskarżył pani o żadne zniesławienie, dobrze?

– Czy spodziewaliście się dzisiaj gości? – zapytał Corvo.

– N-nie. Mówił tylko, że chce dziś porozmawiać o czymś ważnym.

– Ma pani jakieś podejrzenia, czy ktoś mógł uznać Wita za wroga?

– Dużo kłócił się z ojcem, parę tygodni temu odesłał Kacpra i Dawida. – W odpowiedzi na uniesione pytajęco brwi Corvo dopowiedziała: – To jego opiekuni, nasyłani przez ojca. Prześladowali go i nie pozwalali mu żyć, jak chciał. Poza tym to ostatnio kłócił się z Jaromirem, ale to nic poważnego.

Chciała kontynuować, ale speszyła się na widok wysokiego, szczupłego mężczyzny o kanciastej szczęce, który wszedł do mieszkania, wymachując odznaką.

– Dzień dobry, dziękuję wszystkim za wykonanie świetnej roboty, dobrze wam poszło!

Zakręcił w ustach wykałaczką, przesunął ją do kącika ust i uśmiechnął się lekko. Zdjął szarą fedorę, odsłaniając rzadką strzechę słomianych włosów, i ukłonił się lekko, jakby z drwiną.

– Inspektor Kazimierz, syn Solfa, acz już niedługo dostąpię zaszczytu posiadania nazwiska, ale przepraszam za tę zbędną dygresyjkę. Panienska, mniemam, współlokatorka? I nasz słynny Wilkołak ze Skrzyżniarni, podinspektor Corvo! – przywitał się tamten, familiarnie klepiąc Corvo w ramię.

Corvo nabrał powietrza przez nos, zirytowany. Kurtuazyjny zwyczaj Nocnej nakazywał, aby w takiej sytuacji posłużyć się przybliżonym rodzajem stopnia, równając w górę, czyli Kazimierz powinien był nazwać go inspektorem.

Oczywiście w sytuacji, gdzie należało szybko ustalić hierarchię, dla jej podkreślenia można było podzielić się z otoczeniem dokładną rangą rozmówcy.

Szare oczy Kazimierza krzeszały złośliwe iskry w kierunku Corvo, który dusił w sobie złość do nielubianego kolegi z Komendy Głównej. Kazimierz ewidentnie obrażał go w taki sposób, by Corvo nie mógł wprost zaprotestować.

– Cóż za zaszczyt, inspektorze Kazimierzu – wycedził, lustrując strój detektywa.

Kazimierz nosił dyskretnie zdobiony kaftan, koszulę z jakiegoś szlachetnego materiału, ewidentnie będącego wybawieniem w taki gorąc, oraz czerwoną, zdobioną pochwę z rapierem. Całość wieńczył lekko ekstrawagancki fular.

– Widzę, że służba służy – podsumował Corvo, z rozmachem uderzając otwartą dłońią w plecy tamtego.

Kazimierz kaszlnął, prawie wypluwając swoją wykałaczkę. Zmarszczył czoło, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się i zaprosił gestem dwóch mężczyzn do środka.

– To Kacper i Dawid – wyszeptała złąkniona Agata.

– Proszę się nie martwić, nic pani nie zrobią – zapewnił Bramin zbyt głośno.

– A tak, Braminie, weź panią na dół. Dobra, Gonzo, co my tu mamy? Panowie Kacper i Dawid potwierdzili tożsamość denata, pan Feliks źle się czuje i nie mógł się stawić osobiście, jego małżonka, załamana stratą, również. Dobra, pokażcie ten list.

– Co ty robisz? – zapytał Corvo, przerywając tę prędką tyradę i przechodząc za Kazimierzem do zmasakrowanego salonu.

Kazimierz przejrzał list samobójcy, rozejrzał się po pomieszczeniu i odpowiedział swobodnie:

– Przejmuję śledztwo. Nie martw się, wspomnę w raporcie do prokurator Jadwigi o twoim fantastycznym wkładzie. W zasadzie ogarnęliście wszystko...

– A kto tak powiedział? – przerwał ostro Corvo.

– Właśnie pani prokurator, mam to na tym papierze. Dobra, trzy dni i zamykamy to samobójstwo.

Corvo się zgarbił, chowając głowę między barkami. Kacper i Dawid minęli go, wchodząc do pomieszczenia. Agata prowadzona przez Bramina spojrzała na nich lękliwie, idąc powoli w kierunku wyjścia.

– To nie samobójstwo – rzucił twardo Corvo. – Młody, notuj to – rozkazał strażnikowi, który spisywał przebieg oględzin miejsca zdarzenia.

Agata znieruchomiała, Kacper i Dawid odwrócili się jak na komendę. Jeden wyglądał na wystraszonego, drugi na zdenerwowanego. Obaj spojrzeli po sobie i zwrócili się w kierunku Kazimierza. Ten przetoczył wykałaczkę po wargach i po chwili milczenia zapytał:

– Co ty pieprzysz? Wszystko jest jasne, dostaniesz za to swój bonus. Fanfary, rozwiązałeś sprawę, pójdzie na twoje konto.

– Nie wątpię w twoje zdolności dedukcji, stary druhu. Wiem, że szybko zapoznałeś się z materiałem dowodowym, zapewne jak przyjrzyś się sprawie na spokojnie, uznasz, że w całej kamienicy powinno się zarządzić wieszający skan wielomagiczny.

– List samobójcy jest, metoda odebrania sobie życia co prawda dość egzotyczna, ale nie takie historie widzieliśmy. Słuchaj, nie możemy się bawić w kosztowne czary, kiedy nie ma żadnych poszlak. Widzisz, w Głównej uczą nas, że musimy szanować pieniądze podatników – perorował Kazimierz, przeciągając sylaby. – Co pomyślałby lud, gdyby usłyszał, że w sprawie syna ważnego lorda bezzasadnie wykorzystujemy środki, których nie powinniśmy używać?

Corvo zacisnął pięści i odpowiedział:

– Tu śmierdzi. Śmierdzi zabójstwem. Zróbmy teraz skan wielomagiczny i idźmy dalej, zanim będzie za późno.

– Och, no jakie tu masz do tego powody, orle?

Corvo wystawił rękę, uniósł palec wskazujący i zaczął wyliczać:

– Z sekcji Gonza wynika, że nasz skoczek dorobił się takich miłych ran jak siniaki, które nie są rezultatem upadku. Miał potrzaskaną lewą rękę, pustą pochwę rapiera nosił z prawej strony. Czemu nie schował oręża, jeśli chciał odejść ubrany jak szlachcic? Brzmi to, jakby próbował walczyć o życie. Idźmy dalej. Cenił sobie stare tradycje arystokracji. Wiesz, jak według tradycji kończą z życiem szlachetnie urodzeni?

– To są jakieś twoje konfabulacje. – Kazimierz machnął ręką. – Pochwę wziął, miecza zapomniał, bo był w emocjach. Miotłą uszkodził runy, tak żeby artefakt go zaatakował, i potem już poszło. Chłopak był wyedukowany, to umiał przepisać runy.

– Poczekaj, zaraz skończą mi się palce prawej ręki. Chłopak miał na biurku starożytne traktaty. Wedle nich arystokracja podcina sobie żyły

w wannie. Idźmy dalej. Jak już ustaliliśmy, dbał o szlachecki sznyt. Dlaczego zatem jego ostatni, pożegnalny list wyglądał, jakby napisał go dupą, zeżarł i wysrał? Spójrz na pisma w sypialnianym gabinecie i porównaj z jego ostatnią wolą. To było zabójstwo.

– Skończyłeś swoje fantazje? Dobra, wyjdź, zanim każę cię wyprowadzić. Nie martw się, sprawdzimy wszystkie szlaki. Dzięki za pomoc, wspomnę o niej w raporcie do twoich przełożonych.

Rozdział III

Budowa różdżki

Aramin

– Czaręsło zwane też czaręstwem...– dyktował szybko Aramin, gdy brązowymi oczami ślizgał się po pergaminie zapisanym nieczytelnymi bazyliami.

Siedzieli w piwnicy przy stole lepkiem od zeschłego alkoholu i tłuszczu. Choć rodzinny strumień pieniędzy był szeroki, Godemir był w stanie roztrwonić wszystko. Piwnica przypominała raczej obskurną tawernę niż część posiadłości szlachcica. Godemir wolał przyoszczędzić na służbie, a pieniądze wydawać na spłacanie coraz to nowszych długów.

To nie było najgorsze.

Najgorszy był smród: melanz potu, wymiotów i zwietrzałego alkoholu.

Godemir podniósł się z rozkosznie wygodnego pufu i poszedł po miotłę. Aramin przerwał dyktowanie. Machnął kilka razy ręką i w końcu odetchnął z ulgą: śmierdziało mu trochę mniej. Złote pióro Godemira zatrzymało się nad powierzchnią jego zwoju.

Aramin zerknął na zakorkowaną butelkę niebieskiego płynu, przetykanego obłokami gwieździstego brokatu. Od ścianki odbijały się cienkie iskierki. Namalowany srebrną farbą napis obwieszczał zawartość: *Chmurwino, szlachetny trunek zawierający jedno włókno z kłębu Chmurowiec.*

„Ciekawe, kiedy je otworzy”.

Dyktowanie łączone z wspólną degustacją alkoholu brzmiało dobrze.

Spojrzał w lustro pokryte firaną pajęczyn. Nie wiedzieć czemu stało obok regałów, na których czały się niedobitki armii butelek. Wzruszył

ramionami, wyglądał zbyt tanią, zbyt szarą i zbyt dużą tunikę i przejechał dłonią po drapiącej, ogolonej głowie, z której jak dwa maszty sterczały odstające uszy.

– Mam nadzieję, że zaraz coś wypijemy – mruknął do Godemira, który zadowolony zszedł z piętra z miotłą i wiadrem zupełnie niepasującymi do jego stroju.

Był równie chudy i wysoki jak Aramin, ale na tym kończyły się ich podobieństwa. Jedyny syn znanego alchemika nosił cudowną szatę godną prawdziwego maga. Delikatny złoty materiał zdobiły srebrzyste gwiazdy i tajemne symbole, odważnie balansujące na granicy dobrego smaku i kiczu.

Aramin pomyślał złośliwie, że z wielkim, krzywym nosem i kryzą pod gardłem Godemir wygląda jak poślaczany sęp.

Godemir źle ocenił uśmiezek. Klasnął, wypowiadając tajemne hasło. Umieszczone na złotej obręczy drobne jak mrówki runy rozbiegły się na cienkie witki miotły i pokryły je substancją przypominającą niebieski klej.

Godemir klasnął jeszcze dwa razy i miotła z rozmachem zaczęła zrzucać zawartość stołu na podłogę. Żelowa substancja rozpuszczała się i pożerała brud z blatu.

– Dobrze, nie? Ojciec dostał od cechmistrza Cechu Kotła.

Aramin uniósł brwi ze zdziwienia i dopytał:

– Tego wspierającego cześnika Feliksa w staraniach o stworzenie Urzędu Miar i Rejestrów?

Godemir ziewnął i machnął ręką.

– Nie wiem, może – rzucił leniwie, wsuwając się na miękki puf. – Musisz szybciej dyktować, szkoda czasu. Wiadomo, ty przy okazji sobie powtórzysz do sprawdzaniu, ale i tak dzięki ci, stary, za poświęcenie.

„Gdzie Mezja będzie z takimi elitami”, zirytował się Aramin.

Od kilkunastu lat Mezja stanowiła część Federacji. Wreszcie stała się prawdziwą częścią kontynentu Dytiki.

„Jeśli kiedyś będą rządzić ludzie jak Godemir, tacy jak ja będą musieli im doradzać”, uznał nieskromnie Aramin. „Na zachodzie bogate księstwo Fetryjskie, na wschodzie półdzika Drewlania... Nie mamy luksusu lokalizacji. A i tylko biedniejsza od nas Drewlania oddziela nas od strachunów”.

Gode nachylił się i poklepał go protekcjonalnie po ramieniu, przy okazji zgarnął i schował butelkę. Aramin dyktował ze swoich notatek, złote pióro śmigało jak łyżwiarz po tafli jeziora. Godemir znowu wstał z pufy i zniknął

z butelką gdzieś w czeluściach zatęchłej piwnicy. Wrócił po chwili z ciężką sakiewką w ręce.

Aramin chrząknął niepewnie i zagaił:

– Zaszło mi w gardle. Może się już czegoś napijemy?

Godemir wytrzeszczył oczy i powiedział:

– A to nie mówiłem?

– Czego? – zapytał Aramin, siląc się na słaby uśmiech, chociaż czuł, jak w gardle zbiera mu się gorycz.

– Tym razem nie możemy. Chłopcy z Mandoliny zaprosili mnie na bankiet, będzie dużo dziewczek z niższych sfer. Chętnie nadzieją się na moją różdżkę, jak poczują w tańcu, jaki jestem twardy, o tu – zażartował, ściskając w garści przypinaną do pasa sakwę.

Widząc smutek na twarzy Aramina, Godemir znowu poklepał go po plecach.

– Słuchaj, nie mogę cię tam teraz wkręcić, za bardzo byś nie pasował. Umówmy się tak: ja ci to jeszcze wynagrodzę. Dokończ dyktowanie, jak skończysz, to wyjdź tylnymi drzwiami. Możesz się napić... – rozejrzał się, sięgnął po dwie z najbardziej zakurzonych butelek na najniższej półce winnego regału – ...o tego. Ja stawiam. Pomożesz mi bardzo, zapamiętam to sobie.

„Ja też to sobie zapamiętam, niewdzięczny gnojku, idący chlać z cwanyimi kretynami”, Aramin czuł żółć w ustach, ale kiedy odpowiadał, w jego głosie nie było ani grama goryczy, tylko odrobina słodkiej uprzejmości.

– No dobra. Pamiętaj, że inni będą chcieli ci się przypodobać dla fortuny, mają jakieś interesy. Ja po prostu jestem przyjacielem i nic nie chcę – powiedział.

Godemir uśmiechnął się od ucha do ucha i wyściskał przyjaciela. Na odchodne sięgnął dwoma palcami do sakwy i rzucił dwie sztuki złota, które potoczyły się po oczyszczonym stole.

Jeszcze z korytarza krzyknął:

– A, zanim pójdziesz, schowaj miotłę i wyrzuć butelki. Dzięki stokrotnie!

*

Pędził w kierunku budynku Uniwersytetu. Przebiegł obok posągu słynnego Magnificencji Empedoklesa. Posąg zdawał się patrzeć mądrym spojrzeniem zza starczej, sięgającej pasa brody. Mimo mądrości i jej atrybutów w postaci

wagi z odważnikiem na jednej szali, a zwiniętym zwojem w drugiej nestor i wzór nie uniknęli błażej zniewagi w postaci gołębich odchodów na obliczu.

Obok pomnika dostrzegł śliczną brunetkę. Stała z koleżankami, paląc lulka i żartując. Zapatrzony, potknął się na szerokich schodach prowadzących do wnętrza.

Wylądował na czworaka. Spłonął na twarzy, wstał i schował się za smukłą kolumną. „To pewnie ze mnie”, pomyślał, słysząc śmiechy dziewczyn. Zmusił się do skwaśniałego uśmiechu i zgarbiwszy się lekko, wszedł do środka z poczuciem palącego wstydu.

Przywitał go wyliniały dywan i rząd kolumn pokrytych nalotem odłóżącego tynku. Cóż, „kuźnia talentów” obfitowała w korozję, na każdym kroku przypominając, że Mistrzowie potrafią wyczarować pustkę w skarbcu.

Przez cały dzień prześladowały go myśli o tym, że zbłądził się przed tamtymi dziewczynami.

*

Na drewnianej ławie siedzieli Cis i Byczek. Ślali mu pełne cierpienia spojrzenia. Korpulentny gnom w czarnej kurtce ze skóry po raz kolejny dawał popis elokwencji.

Bartolomeo nie brał jeńców i kiedy w jego zasięgu znalazł się biedak zastanawiający się nad aspektem materiałów, gnom zawsze pędził, by mętnie i językiem skomplikowanym, obfitym w puste ozdobniki zalać słuchacza i doprowadzić do kryzysu egzystencjalnego. Od wykładowców była ucieczka w postaci dzwonu oznaczającego koniec zajęć. Od monologów Bartolomeo – tylko śmierć.

Wrzeczionka poprawiła oprawki i spojrzała na Aramina spod grubych szkieł. Włosy spięła w kok, jak zawsze nosiła jakąś burą suknię o przestarzałym kroju, skutecznie tuszującą wszelką kobiecość sylwetki.

– Właściwie jakie mamy teraz zajęcia? Zgubiłem plan.

Wrzeczionka westchnęła i wyjęła z torby równy zwitek białego, pachnącego różami pergaminu.

– Tak myślałam. Zrobiłam kopię, tylko nie zgub, proszę. Teraz będzie Praktyka rzucania zaklęć z mistrzem Znamirem. Gdzie Szczupak, to nie wiem, mówił, że Złotolitka i Godemir nie idą na zajęcia. Wolą pójść do Mandoliny.

Aramin poczuł ukłucie w brzuchu. Spojrzał na rozpadające się buty. Ich oliwkowa barwa nabrała wyblakłego odcienia, podeszwa trzymała się reszty na nieśmiało słowo honoru. Wsadził kciuk za spękany pas przykrótkich bryczesów i sapnął.

Wrzecionka westchnęła ze zrozumieniem i poklepała go po plecach.

– Po co się przejmujesz? Ciągłe marudzą, że zajęcia są głupie. Sami bez przerwy biesiadują. Zastanów się, co jest ważne. Dobrze zdane egzaminy to licencja na czarowanie i bezpieczna przyszłość. Z nimi mógłbyś być tylko pewny pustej rozrywki i kaca.

„Brzmi świetnie, ja chcę pustej rozrywki i kaca jako czegoś pewnego, a nie przyszłości, która może nie być taka udana”.

Pochylił głowę, drapiąc się po szorstkiej szczecinie krótkich włosów.

– No jasne, przyszłość... ale co, jeśli będziemy ślęzczyć przez naszą młodość w książkach, a potem się okaże, że za dużo adeptów zostało przyjętych do Bractwa i... i nie będziemy mogli znaleźć godziwej pracy. I zmarnujemy młodość?

Wrzecionka spojrzała uważnie i mruknęła:

– Ari, masz bardzo sprecyzowane niepokoje. Długo o tym myślałeś?

Unióś ramiona i w zakłopotaniu podrapał się po skroni. Wrzecionka czekała cierpliwie. Aramin przeżuwał swoje myśli, by w końcu mruknąć:

– Czuję ostatnio taką pustkę, niesprawiedliwość świata. Wiem, że miasto ze swoimi złocistymi iluzjami próbuje nas oszukać, ale nie wiedzieć kiedy naprawdę zacząłem wierzyć, że jestem wyjątkowy i zasługuję na więcej.

Wrzecionka się uśmiechnęła i z hukiem zatrzaskała księgę. Znowu poklepała go po plecach i powiedziała ciepło:

– No i dobrze, może w końcu znajdujesz dla siebie trochę miłości. Jesteś wyjątkowy, ale zastanów się, czy to, za czym gonisz, da ci szczęście? Może to, co naprawdę wartościowe, jest tuż obok?

Aramin uśmiechnął się słabo.

– Dziękuję.

Po chwili uśmiech się rozszerzył, kiedy zobaczył, że usta zbliżającej się Złotoltki śmieją się do niego. Fala złotych loków opadała aż do zgrabnych pośladków, twarz zdobił pieprzyk pod lewym okiem, czarna suknia z rozcięciami podkreślała piersi. Adeptci czarodziejstwa obracali się za nią, zwłaszcza że szła przez korytarz, zataczając się, rozchichotana alkoholem lub żartami sączonymi przez Godemira.

Godemir kroczył sprężysto, ewidentnie lepiej znosząc brzemię alkoholu. Jedyną oznaką przyjętych przez niego procentów był rumień na policzkach. Gode śmiał się rubasznie, trzymając Złotolitkę za rękę.

– Czemu powiedzieli akurat Śledziowi, on wcale nie jest ciekawy – mruknął cicho Aramin z pretensją w głosie. „I co ona widzi w Godemirze?”

Wrzecionka zmarszczyła brwi i mruknęła coś pod nosem, zirytowana.

Ogromne drzwi głównej auli wykonano z szarego drewna, na którym złociły się tajemne glify. Na odrzwiach wyrzeźbiono gruby dąb. Z największych gałęzi zwisały ciężkie owoce w postaci grubych, przepasanych liściastymi wstęgami zwojów. Podwoje otwarły się zgrzytliwie, rozległ się odgłos głębokiego gongu.

*

Starszy mężczyzna w lnianym dublecie bardziej niż mentora przypominał wieśniaka, który przeżył zbyt wiele. Ręce drżące równie mocno jak głos, rozedrgane spojrzenie i urywanie myśli nie pomagały mu zdobyć uznania auli.

Mistrz Znamir się nie zrażał, tylko brnął dalej w wykład, nie widząc lub nie chcąc dostrzec kpín i lekceważenia. Araminowi wydawało się, że uchwycił pełne desperacji i wdzięczności spojrzenie Mistrza, który jakby miał nadzieję, że choć ten jeden student słucha go z uwagą.

Aramin przybrał pilną minę, pióro skrzypiało, kreśląc kolejne krzywe linie nieczytelnych notatek. Nie lubił, kiedy inni utrudniali prowadzenie wykładów. Sam, nawet jeśli nie słuchał, to dla świętego spokoju nie przeszkadzał, tylko czytał szpiegowskie czytadła spod pióra L. S. Tagarda.

– Ale, ale, zacznijmy od początku – kontynuował monotonna Znamir, obdarzając Aramina łaskawym uśmiechem.

– Od początku? Przecież siedzimy tu już dwie godziny – wymamrotał nieprzytomnie Byczek.

Staruszek kontynuował:

– ...magia mistyków to błogosławieństwo boskie. Duże kompetencje w dziedzinie to znak, że bogowie ci sprzyjają. Wedle tej tradycji, niegdyś popularnej wśród czarodziejów i czarowników, Bóg, Niebo, Ojciec, Brat i Mąż w jednej postaci, zwany Trismegistosem, zabił był swą Matkę, Żonę i Siostrę: roztrzaskał i rozrzucił jej esencję na powierzchnię Mircei. Następnie wyrecytował Pieśni Stworzenia i zapisał je na Diamentowych Tablicach. Dygresyjnie stwierdzą, że druidyczne kultury wierzą, iż Īnwe są częstkami Bogini.

Wykładowca przerwał, zaczerpnął łyk wody, po czym niestrudzenie kontynuował mitologiczne opisy.

– Jak to pomoże nam znaleźć pracę? – dziwił się Cis, zagłuszając wykładowcę. – Dzień dobry, nie znam się na czarach, ale za to znam historie starsze od moich wykładowców.

– ...i tak oto Trismegistos użył Pieśni Stworzenia, by zapisać ludom nieskończoną mądrość w Tabula Diamanti, których wedle większości tradycji jest ponad trzydzieści sześć tysięcy ksiąg. Dokładnie trzydzieści sześć tysięcy pięćset dwadzieścia dziewięć. Zawierają formuły słów doskonale opisujących naturę rzeczy. A układając znaki w formuły, tworzymy zaklęcia. Tyle z praktyki. Wróćmy do podstaw.

„Najpierw muszę dostać stypendium, potem mogę myśleć o tym, jak wkraść się w łaski naszej uniwersyteckiej elity”, uśmiechnął się do myśli Aramin, wyprostował i wbił pełne uwagi spojrzenie w Mistrza.

– Usystematyzujemy wiedzę o budowie różdżki. Różdżka składa się z przedróżdżcza, śródróżdżcza i zaróżdżcza – kontynuował Mistrz, chyba rozmyślnie ignorując falę śmiechów przetaczającą się przez aulę.

Aramin rozdziawił usta w przejawskrawionym zdziwieniu i spojrzał na Wrzecionkę.

– To jakież żarty? Naprawdę opisuje nam budowę różdżki w taki sposób?

– Ciii, uważaj! Podobno żeby zdać u niego praktykę rzucania zaklęć, trzeba podyktować to słowo w słowo, tak jak on powie.

– Przecież to głupie.

– Różdżki powstają z materiałów kanalizujących i przechowujących Praną ustrukturyzowaną w formie zaklęć czeli. Posiadacz różdżki winien trzymać ją mocno za zaróżdżcze, celując w miejsce uwolnienia czaru. Uwolnienia, nie: rzucenia, bowiem różdżki to w istocie pojemniki, w których zamykane są po wielokroć te same zaklęcia...

Głowa Aramina opadła na pulpit i strąciła ulubiony kałamarz Wrzecionki. Chłopak wyprostował się i wyciągnął dłoń, ale nie zdążył – kałamarz wywinął fikołka i wylądował miękko na podołku dziewczyny. Wrzecionka obrzuciła kolegę zde gustowanym spojrzeniem, a Aramin zaśmiał się z zakłopotaniem i gorąco, choć szeptem, przeprosił.

Rozejrzał się jak spłoszony złodziej. Odetchnął z ulgą, widząc, że nikt nie zwrócił uwagi na incydent. Zmarszczył nos i poczuł, że całe jego ciało oblał zimny pot.

*

Wokół czało się uczucie odrealnienia. Miał dziwne wrażenie, że już to słyszał.

„Czy on się powtarza?” – zastanowił się, unosząc ciężkie powieki. Szarpnął się, kałamarz Wrzecionki wywinął dzikie salto i wystrzelił wysoko, po czym rozbił się na twarzy mistrza Znamira. Odłamki poplamiały srogą twarz starca atramentem i krwią.

– Gdzie jest ten plugawy pomiot? – zaskrzeczał wściekle nauczyciel.

Aramina zemdlilo ze strachu, oblał go zimny pot.

Tłumy wypełniające salę wbijały w niego palący nienawiścią wzrok. Przerażony poszukał oparcia i zrozumienia w oczach przyjaciół. Ci jednak oskarżycielsko wskazywali na niego palcami.

– Wezwijcie Straże! Dzienną! Nocną! Świt! Zmierzchu! Księżęcą! – przekrzykiwali się wściekli uczniowie, celując w niego różdżkami.

– NIE!

Zrzucił pościel, dysząc ciężko. Leżał przez chwilę, czując, jak strwożone serce łomocze dziko w piersi.

Zacisnął pięści i spróbował uspokoić oddech.

– Szo tam? – zapytał z drugiego łóżka Byczek.

– Głupi sen – wymamrotał Aramin, czując, jak przechodzą go dreszcze.

– Ehe. Zamknij okno – wymamrotał współlokator, wciskając głowę pod poduszkę.

Aramin zerknął w kierunku okna. Oczywiście zamknięte.

To była bezsenna noc.

*

Stremowany przebierał nogami, stojąc w niekończącym się wężu kolejki. W spoconych rękach ścisnął mocno cienki wolumin oprawiony w skórę. Złożone literki układały się w tytuł: *Prawdziwy Charyzmat. Sztuka zaklania umysłów i skutecznej dyplomacji. Oczaruj bez magii.*

Aramin wiązał z tym tomem wielkie nadzieje, ale nie był w stanie skupić się na lekturze. W końcu schował księgę do torby i niecierpliwie oczekiwał na audiencję.

Wreszcie nadeszła jego kolej. Wszedł do dziekanatu.

„Tym razem będzie inaczej”, postanowił, zamierzając wyciągnąć lekcję ze swoich poprzednich wizyt.

Patrzył w bok i w dół, przydreptał do zavalonego papierami biurka z pokornie schyloną głową. Przywitał się grzecznie, wyrecytował, po co przychodzi, i z namaszczeniem oddał podpisany przez siebie pergamin oraz ciasteczko miodowe.

– To do kawy – rzucił nieśmiało.

Czuł na sobie taksujący wzrok kobiety ważącej jego losy. W końcu się uśmiechnęła, z pasją uderzyła pieczęcią w jego podanie i otworzyła kuferek z sakiewkami.

– Tu podpisać i wyjść – skomentowała, a Aramin poczuł nieopisaną ulgę.

Takie słowa z ust pani z dziekanatu były niemalże jak czuła pieszczota. Podziękował grzecznie, wycofał się, idąc tyłem do drzwi, odwrócił szybko i umknął, nim zmienił się nastrój urzędniczeki.

Wesoły podrzucił sakiewkę. „Może to nie fortuna, ale zawsze trzysta miedziaków więcej”, pomyślał, czując, jak poprawia mu się nastrój.

W dormitorium odsuwał sakwę i przesypał większość monet do kufereka chowanego pod łóżkiem. Klasnął szybko trzy razy, zrobił przerwę i znowu szybko klasnął trzy razy. Kuferek zamknął się ze szczęknięciem wewnętrznej zamka.

Aramin rozłożył się w łóżku i zaczął czytać książkę. Z ulgą stwierdził, że lektura w niczym nie przypomina inteligenckiego bełkotu, przez jaki musieli się przebijać z polecenia wykładowców. Zaczytany, nie zauważył, kiedy zrobiło się ciemno.

Czytał, wierząc się niespokojnie. Wyglądał jak ktoś cierpiący na bezsenność lub opętany. W końcu dał za wygraną, schował książkę pod koc i zanurkował pod łóżko. Kilka klaśnień później siedł ciemnymi alejkami Radymicza z sakwą brzęczącą od monet ze stypendium.